

Czynszak Marcin

Piętno

W głównej sali niewielkiego zameczku kasztelana było zimno. Chłodny jesienny wiatr wciskał się wszystkimi szczelinami. Opatulony grubym płaszczem władcy siedział na rzeźbionym krześle, które lubił nazywać tronem. Ponuro obserwował zmarzniętych wielmożów, zasiadających po obu stronach ciężkiego stołu, przy którym zwykli zbierać się na radach. Wielmoże setnie się nudzili, kontemplując rozwieszony na ścianach zakurzone sztandary, zdobyte na zapomnianym wrogu i drzemiących gwardzistów opartych o halabardy. W sali panowała cisza, przerywana czasem kasznięciem lub westchnieniem. Czekali.

Kasztelan z uwagą obserwował drogę płomyczka zachodzącego słońca, który wpadł do sali przez wąskie okno. Kiedy promyczek mozolnie dotarł do okutych drzwi sali narad, w korytarzu rozległy się dalekie kroki i brzęk blach. Gwardziści ocknęli się i wyprężyli, wielmoże wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wkrótce kroki ucichły. Zebrani usłyszeli z korytarza kilka cichych słów i ciężkie odrzwia skrzypiąc otwały się. Stary kasztelan uniósł się z trudem, zerwali z miejsc wielmoże. Wszystkie zwrócone w kierunku drzwi oczy nagle zmrużyły się. Promyk wędrujący po matowej powierzchni drzwi natrafił na gładką i wypolerowaną blachę zbroi, rozbłyskując z całą mocą. W tej jednej chwili stojący w drzwiach wysoki, jasnowłosy rycerz o stalowych oczach wydał się zebrany istotą z innego, lepszego świata.

- Zaszczyt to dla nas wielki gość największego z paladynów królestwa, pogromcę smoka - powitał przybyłego kasztelan. - Sława twoja, panie, opowieści o twej odwadze i sile twego miecza dawno już dotarły i na naszą odległą od stolicy prowincję.

- Nie dla sławy walczę ze złem i wszelkimi jego dziełami - mocnym głosem odparł rycerz. - A smoka, panie władcyko, nie da się pokonać mieczem, choćby mocarnym i świętym. Sercem czystym dokonać tego można i umysłem nieugiętym, na chwałę dobra.

Wielmoże ciekawie spoglądali na żywą legendę królestwa - paladyna Lucisa. Zaiste, gotowi byli uwierzyć we wszystkie traktujące o nim opowieści: jak to na czele zastępów królewskich zwyciężał trzykroć liczniejszego wroga, jak z dwoma innymi rycerzami odzyskał święte relikwie zagrabione przez barbarzyńskich nomadów ze wschodu, jak wreszcie sam wkroczył do jaskini starego, złego smoka w Górach Krwi, aby po trzech dniach wyjść stamtąd jako zwycięzca. Tak, teraz wierzyli, że on mógł tego dokonać. Na jego twarzy widać było zdecydowanie, w oczach siłę, w głosie brzmiało

dobro. Gdy tak stał opromieniany blaskiem zachodzącego słońca, oni - obwieszani złotymi łańcuchami, bogato odziani, starzy i otyli - czuli się przy nim mali i śmieszni. To, co było dla nich całym życiem, a więc intrygi na prowincjonalnym dworze, nowe i stare żony, nieudane dzieci, z trudem zdobywane pieniądze, nieustannie powiększany majątek - wszystko bladło wobec tego rycerza, który życie poświęcił Idei.

Gość zajął miejsce u szczytu stołu, pozostali także usiedli, kasztelan ciężko osunął się na swoje krzesło.

- Czemu zawdzięczamy twoją wizytę w naszej prowincji, panie? - zapytał.

- Doszły mnie słuchy, że tu uszedł złoczyńca i odmieniec Morthir, zwany także Jaszczurem. - Czy to prawda? - odpowiedział pytaniem Lucis.

Kasztelan westchnął w duchu. A jednak o to chodziło.

Miał nadzieję, że Jaszczur szybko i cicho przejedzie przez jego krainę, aby schronić się na zimę w północnych górach.

Tymczasem szykowało się coś większego. Władyka nie chciał kłopotów.

- Tak, panie - odparł Lucisowi. - To zapewne on i jego kompania. Przybyli od południa jakiś tydzień temu. Złupili chyba ze dwie wsie i jednego kupca... Nic wielkiego.

- Nic wielkiego?! - zachnął się rycerz. - A co na to twoja drużyna?!

Kasztelan skurczył się na myśl o kilkudziesięciu ospałych osiłkach, którzy już kilka lat nie mieli żadnego zajęcia poza picciem, żarciem i obławianiem karczemnych dziewczek.

- No cóż, zbójcy... uszli im - skłamał i odwrócił wzrok nie mogąc wytrzymać spojrzenia paladyna. - Ale są na twe usługi, panie.

- To zbyt cenne - rzekł Lucis - przywiódłem własny oddział.

- Jeśli wolno, panie - zdobył się na odwagę jeden z wielmożów - czemuż to tak znamienity rycerz zajmuje się ściganiem zwykłego zbira i infamisa?

- Morthir nie jest zwykłym zbirami - zgromił Lucis pytającego. - Był kiedyś rycerzem, ale w swej dumie porwał się na coś straszliwszego, niż mógł sobie wyobrazić. Zmierzył się z bestią, z tą samą bestią, którą bogowie pozwolili mi pogromić. On okazał się za słaby. Odtąd żyje w nim smok. Morthir nie jest już... człowiekiem. To wcielone zło. Dlatego go ścigam.

- Czy to prawda, panie, że jego twarz pokryła się łuską i że ma gadzi język? - spytał podniecony wielmoża.

- Takie rzeczy powiadają pijane obieżyświaty po karczmach. Ich pytaj o bzdury, kupcze - uciał paladyn. - Wyruszę za nim o świcie. Przyślijcie mi przewodnika.

Lucis wstał, skłonił się lekko kasztelanowi i wyszedł z sali. Wieloże milczeli jak zakłęci.

- Zaraz podadzą wieczerzę... panie - cicho powiedział stary kasztelan, ale rycerz nie mógł go już usłyszeć. Morthir potrząsnął głową, odpędzając złe myśli i przysłonił ręką oczy, a właściwie oko - lewe, bo prawego, ukrytego pod czarną przepaską, prawie nikt nigdy nie oglądał. Ostri, jego młody, dwudziestodwuletni sługa, był jednym z nielicznych, którym się to udało i mimo to żyli nadal. Teraz patrzył z niepokojem na swego pana, który przez ostatnie lata bardzo się zmienił. Wysoki i barczysty Morthir zgarbił się i przygasł. Na twarzy pojawiły się zmarszczki i bruzdy, w krótkich czarnych włosach - pasma siwizny. To już nie był ten dumny niespełna trzydziestoletni szlachcic i rycerz, którego znał Ostri jeszcze trzy lata wcześniej. Teraz, szczególnie w swoim zniszczonym kubraku i czarnym płaszczu, pod strugami zimnego deszczu wyglądał na starego, zmęczonego herszta rozbójników, którym przecież był, skonstatował z rozpaczą sługa.

- Wieści! On ma dla nas wieści! - głośno szydził Łysy Krijja, jeden ze szpetniejszych członków bandy Jaszczura. - Czy posłuchamy jego wieści, zanim poderzniemy mu spasione gardło? Patrzcie, złał się ze strachu.

- Zabij go, niepotrzebnie tracimy czas - warknął Hers Nożownik.

- Nie... panie, błagam... nic... nic im nie powiem... przysięgam... wieści... panie... dla was... - bełkotał półprzytomny ze strachu poborca, którego zdybali we wsi na jego robocie. Klęczał teraz w kałuży na środku pustego placu. Zebrani dokoła chłopci w ciszy obserwowali ryżego, łysiejącego urzędnika. Krew ciekła mu z rozbitego nosa i ust, kapiąc na zieloną kurtkę i w błoto. Próbował podejmować Łysego pod nogi, ale ten ze złością kopnął go w brzuch odrzucając w kałużę. Hers wyjął nóż.

- Zostaw! - rozkazał Morthir. - Niech mówi. Mów, człowiecze, a ciekawie, jeśli chcesz jeszcze żyć. Krijja i Hers natychmiast odstępili. Czasy nieposłuszeństwa i buntów w bandzie skończyły się dawno. Wszyscy widzieli, jak Jaszczur walczy. I zabija. Poborca łypnął z dziką nadzieją.

- Ścigają was, panie... Jaszczurze. Do dziedziny naszego kasztelana jechał rycerz Lucis ze swą drużyną. Ponoć za wami. Pewnikiem wczoraj dotarli - nerwowo zerknął na przebijające zza chmur, nisko stojące poranne słońce.

- Ilu? - krótko spytał Jaszczur.

- Nnie wiem... Gadają, że ze dwa tuziny.

Ostri zasępił się. Nie łudził się, że licząca czternaście głów banda miałaby szanse w otwartym starciu z dwoma tuzinami królewskich knechtów. Pozostawało to, co zawsze - ucieczka.

Imię rycerza Lucisa przypomniało Ostriemu, dlaczego tu się znalazł i co go tu przywiodło. Przypomniało mu chwile

największego strachu, jaki przeżył. Zbójowanie po gościńcach nie było dla niego niczym nowym. Od dzieciaka był złodziejem. Pięć lat temu znalazł miejsce w bandzie takiej, jak ta. Szczęście mu sprzyjało i polubił to życie, bo nie znał innego. Kiedyś jednak - dokładnie cztery lata temu - jego banda wpadła w zasadzkę straży królewskiej. Połowę bandy strażnicy utłukli od razu, pozostałych mieli publicznie powiesić w stolicy, ku przestrodze, bowiem Ostri i jego kamraci mieli na sumieniu ciężkie zbrodnie. Ostriego od stryczka uratował kaprys znacznego szlachcica i wielkiego rycerza imieniem Morthir. Ten to człowiek zażyczył sobie mieć zbójcę za sługę i poręczył za niego pękатыm mieszkem złota. Ostri nigdy nie dowiedział się, dlaczego, ale był na swój sposób honorowy, nie znikając przy pierwszej okazji, przeciwnie, wiernie służąc nowemu panu, dbając o jego zbroję, broń, doglądając koni. Ze zdziwieniem spostrzegł, że to lepsze życie niż rzezimieszka, służba bowiem nie była specjalnie ciężka. Towarzyszył Morthirowi w każdej podróży i wyprawie, dwakroć walczył u jego boku przeciw takim samym ludziom, jak dawni kamraci z gościńca. Był też przy nim na ostatniej wyprawie w Góry Krwi trzy lata temu. Pamiętał, jak ufny w swą nieprzeciętną siłę i niesamowitą zręczność Morthir samotnie ruszył do odległej jaskini, aby zabić smoka. Ostri bał się. Nie tyle chodziło mu o rycerza, ale wiedział, że gdy jego zabraknie, to on, Ostri - niechybnie da głowę. Straż królewska nie zapomniała o nim, bynajmniej. Pamiętał go szczególnie jeden z setników, którego córkę... hm, potraktowali kiedyś dość brutalnie, nawet jak na obyczaje zbójckie. Dlatego Ostri bał się, gdy Morthir nie wracał przez kolejne trzy dni, zwłaszcza że jedyną drogę ucieczki przez górką ścieżkę zagradzali nieprzychylni pocztowi. Namawiał ich, by poszli sprawdzić, co stało się z panem. Odpowiedzią było ponure milczenie. Ale on bardziej bał się śmierci pewnej - stryczka, niż niepewnej (bo w końcu kto widział smoka?). Dlatego Ostri, największa kanalia w orszaku rycerza Morthira, okazał się jedynym, który wyruszył na pomoc swojemu panu.

- Co z nim zrobić, Jaszczurze? - przerwał te rozmyślenia ostry głos Hersa.

- Nieważne - machnął ręką Morthir. Poborca, nie zatrzymywany przez zbójców, przesuwał się na czworakach w stronę milczącej ciżby chłopskiej. - Weźcie jego wóz i załadujcie zapasami ze spichrza wioski. Musimy zniknąć na jakiś czas.

- Panie, ulitujcie się! Z głodu pomrzemy, toć zima idzie! - podniosły się głosy, gdy banda zaczęła opróżniać bez trudu odnalezione ziemianki.

- Cicho, chamy! - syknął Ostri. - To taka wasza wdzięczność, żeśmy was od podatku ocalili?

Cisnął odebrany poborcy mieszek z kilkoma miedziakami na ziemię. Wieśniacy natychmiast rzucili się do zbierania

cienkich monet. Rozbójnicy ryczeli ze śmiechu.

- Nie zabierzemy wam wszystkiego, głupcy - powiedział herszt zmęczonym głosem. - Tylko tyle, ile nam potrzeba.

Ciemny, brudny i boso tłum patrzył nic nie rozumiejąc na ponurego zbója z czarną przepaską. Po jego twarzy spływały krople deszczu. Swym jedynym okiem patrzył gdzieś daleko, jakby dostrzegał rzeczy niewidzialne dla innych.

Jasnowłosy rycerz przechylił się w siodle, aby dokładniej obejrzeć leżące w kałuży nagie ciało. Twarz była tak zmasakrowana, że rozpoznano poborcę właściwie tylko po rudych, rzadkich włosach.

- Bestie - szepnął Lucis. - Zabili go maczugami albo kamieniami. Morthir zapomniał już, jak morduje się w ludzki sposób.

- Skąd wiecie, że to była banda Jaszczura, ludzie? - rzucił Odredd, potężny wąsaty żołnierz, kapitan Lucisa, w stronę gromadki zmokniętych chłopów, wygonionych z chat.

- Ano... tak jakoś gadali do niego... panie Gadzie czy Jaszczurze - rzekł sepleniąc jeden z wieśniaków, ubrany w zieloną kurtkę pokrytą ciemnymi plamami.

- Co jeszcze gadali?... Ty mów! - Odredd wskazał na jedynego obutego wieśniaka, bo nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

- A... że uchodzić im trza... bo ktosik goni... i że dobrze, że... eee... poborcę ubili - odparł tamten wbijając wzrok w ziemię.

- Gdzie uchodzić? Gadajże wreszcie! - pytał kapitan ocierając twarz z zimnego deszczu.

- Zapasy nam wzięli... - wydukał tylko chłop wzruszając ramionami.

- Trafimy za nimi, Odredd. Bądź spokojny - powiedział paladyn do kapitana, który zamierzał potrząsnąć porządnie chłopem. Z jego głosu biła pewność. - Koniec Jaszczura już bliski.

- Czemuście nie zabrali ciała tego biedaka z gościńca, gdy zbóje odjechali? - spytał surowo.

- Baliśmy się, jasny panie, że... że wrócą... wszyscy po chatach siedzieli... - wyjąkał wypchnięty przez ciżbę wieśniak, wyróżniający się lepszymi, sukiennymi gaciami. Odważył się unieść głowę. Napotkawszy wzrok rycerza zbladł momentalnie i wycofał się w tłum.

- Po chatach... - Lucis ogarnął wzrokiem kilkanaście rozpadających się, brudnych lepianek.

Trudno było ocenić, co śmierdzi bardziej: chaty czy ich właściciele.

- Łżecie jak psy, kmiecie... Aleście od psów głupszi - powiedział rycerz i wyciągnął z pochwy miecz. Tłum ochnął i cofnął się.

- Ten, ten, ten i ten - wskazał mieczem posiadaczy kurtki, butów, gaci oraz skórzanego pasa z torbą i miedzianą

sprzączką. - Brać ich!

Ośmiu knechtów wywlekło usiłujących uciec przerażonych wieśniaków na środek placu. Pozostali utworzyli półkole zagradzając dostęp reszcie chłopstwa.

- Ograbiliście zmarłego z ostatniej koszuli - mówił paladyn twardym, donośnym głosem. - Pozostawiliście ciało wilkom i krukowi, a mnie wyszliście powitać przybrani w jego szaty! Głupcy! Powiadam wam, że sprawiedliwości nie ujdziecie, a kara dziś jeszcze wymierzona będzie!

- Litości... panie rycerzu, na miłość... - płakali klęczący na rozmokłej ziemi chłopcy - toż gdy my do lochu, to dzieci nasze... i żony... panie najjaśniejszy, okaż miłosierdzie w dobrym sercu swoim... my biedni chłopcy...

- Milczeć! - Lucis uniósł się w siodle. Wydawało się, że jego jasne, szare spojrzenie przygniotło czterech łotrów do ziemi. Gestem przywołał kapitana knechtów.

Odredd znał dobrze fałszywy wiejski lud. Wiedział, czemu ciała zbierane z pól bitwy były już często nagie i bose. W pełni się zgadzał, że tym tutaj należy się parę batów, a może i loch w zamku kasztelana. A gdy spojrzał na mokrą od deszczu twarz swego pana, wpatzonego w płaszczących się przed nim chłopów, to poczuł się dziwnie. Jak wtedy, po bitwie pod Giramą, gdy... nie, nie. To złudzenie. Deszcz zdawał się ustawać.

Jaszczur jęknął przez sen. Stojący na straży Ostri obejrzał się przez ramię. Morthir znowu zamamrotał do siebie. Ale mógł spać spokojnie. Kryjówka, którą znalazł znający teren Kozik, była naprawdę nie do odkrycia, a na pewno nie w nocy i po takim deszczu. Gęsty las, ścieżki i ścieżynki u podnóża gór, doskonale ukryta kotlina zapewniały im bezpieczeństwo, przynajmniej tej nocy. Jutro trzeba ruszyć dalej, wyżej.

Teren trochę przypominał Ostriemu podnóże Gór Krwi. Te ścieżki, którymi ruszył kiedyś po swego pana. Zbliżał się wtedy do jaskini potwora i bał się coraz bardziej. Pamiętał, że dwa razy zawracał i dwa razy strach przed pewnym stryczkiem kazał mu iść dalej. Wreszcie dotarł. Ostatnie skałki, długie, łagodne podejście. Kilkanaście metrów wyżej ziejąca w ścianie skalnej ciemna, wielka dziura. I ta cisza, niesamowita, ciężka. Gęste powietrze, które sprawia, że chce się krzyczeć, chce się wyć! I zatykający gardło strach, nie - raczej zwierzęce przerażenie, aby nie poruszyć nawet kamyczka, nie hałasować, bo TO się obudzi! Ostri już nie wątpił w istnienie smoka, o nie. Czuł go całym stłamszonym jestestwem. Nie smoka właściwie, ale przygniatającą, potężną obecność.

Czegoś - nie miał wątpliwości - potwornego ponad wyobrażenie. Przykucnięty za skałką, szybko i płytko oddychający zbójca widział swego pana. Widział Morthira w wejściu do jaskini nieruchomego jak posąg. I wiedział, że nigdy i za nic w świecie nie wejdzie tam do niego, na górę. Wołał już śmierć, ale śmierć znaną, swojską, z którą obcował

przez całe krótkie życie, która była tania jak dziewczka z zamtuza. Tu czaiło się coś niesamowitego, ponad wyobrażenia zbója z gościńca. Nie pamiętał, jak długo kulił się za skałkami pod jaskinią, kilka minut czy może pół dnia. Dość, że wreszcie usłyszał odgłos burzący świętą ciszę miejsca. Były to kroki - ktoś nadchodził z dołu. "Idą po mnie", pomyślał właściwie z ulgą, ale instynktownie ukrył się głęboko w załomie skalnym. Ścieżką szedł jeden człowiek. Był to wysoki rycerz w pięknej, błyszczącej zbroi. Długie, jasne włosy opadały mu na ramiona. W stalowych oczach Ostri dojrzał zacięcie i zdecydowanie. Lucis - bowiem to był on, o czym zbójca dowiedział się później - otarł pot z czoła, założył niesiony dotąd w ręce hełm i dobył miecza. Na chwilę opuścił głowę, szepnął coś do siebie i ruszył w górę. Wkrótce zrównał się ze stojącym w wejściu Morthirem. Wtedy równocześnie zdarzyło się bardzo wiele.

- Wyyyy... - zaczął Lucis, zachłysnął się i zamarł. Ostri nigdy się nie dowiedział, co chciał powiedzieć. Potem sztywny dotąd Morthir nagle upadł jak trup, niczym bezwładny worek szmat staczając się po żlebie. I w tej straszliwej chwili, najdłuższej chwili swego życia, przerażony zbójca dostrzegł w ciemności błysk oczu, których nigdy już nie zapomni, które wracają w najgorszych snach. Wielkie, pałające, czerwone ślepie, pełne nieludzkiej mądrości, nieludzkiej wiedzy i nieludzkiego zła, spojrzały. Ale nie zatrzymały się na struchlałym zboju, powędrowały dalej, by schwycić unoszącego oręż rycerza. I nagle miecz wypadł z dłoni Lucisa, z brzękiem obijając się o kamienie, a on sam zamarł, jak kamienna figura, w nienaturalnej pozycji z uniesioną ręką. Jęcząc ze zgrozy Ostri uniósł bezwładne, ciężkie ciało pana i uciekł jak najszybciej, jak najdalej od tego potwornego miejsca. Dalsze wydarzenia pamiętał jak przez mgłę. Pachółków uciekających na widok dawnego pana i krzyczących bez sensu o opętaniu i potworze. Pamiętał własne zdumienie, bo na strach nie było już miejsca, gdy sam spojrzał w twarz Morthira, w oczy, w jego... prawy oczodół, który chował dziś pod przepaską. Pamiętał tępe zrezygnowanie, które go ogarnęło, gdy osunął się na kolana i czekał na śmierć pytając cicho: "Dlaczego? Dlaczego?". Pamiętał, jak Morthir wyjaśniał mu zawile i niezrozumiale problemy kary, pychy, przebiegłości i perfidnej zemsty. Nie wiedzieć czemu, nie porzucił swego pana tam, w górach, ale wrócił z oszołomionym i nie do końca przytomnym rycerzem do miasta. Tylko po to, by się dowiedzieć, że trybunał już się zebrał, świadkowie złożyli zeznania i przysięgi, wyrok został wydany i szafot też jest gotowy. Dumny i niezależny Morthir nie miał rodziny ani wielu przyjaciół, co tylko uprościło sprawę. Wydano zaoczny wyrok - odmieniec, gad, jaszczur, smok - musiał umrzeć. Wygląd rycerza umocnił sędziów w przekonaniu o sprawiedliwości decyzji. Nikt nie chciał

wyjaśnień oskarżonego... w zasadzie skazanego. Ostri pamiętał, jak samowtór uciekli zaułkami, wykorzystując strach i niezdecydowanie straży na widok straszego piętna, którym naznaczył rycerza smok lub cokolwiek, co żyło w samotnej jaskini. Potem była ucieczka w lasy, spotkanie z bandą grasantów, z którą już pozostali. Morthir, jak myślał Ostri, nie potrafił otrząsnąć się z szoku; nie był już przecież rycerzem, jego miecz został złamany; bardzo się zmienił, stał się ponury i małomówny. W końcu jednak silna osobowość zatriumfowała - wywalczył sobie przywództwo w grupie, nie przebijając w środkach. Stał się hersztem bandy, Jaszczurem, o którym nie bez powodu mówiono "Okrutny". Pozornie hersztem bandy, jakich wiele. Ale to tylko za nim niemal natychmiast ruszył w pościg paladyn Lucis, który powrócił z jaskini smoka w glorii zwycięzcy. Jego tryumf potwierdziło trzydziestu pachołków ciągnących z gór wielkie, straszliwe ścierwo. Już bardzo długo udawało im się wywodzić Lucisa w pole. Nigdy nie był tak blisko za nimi. Ostri czuł, że między tymi dwoma, Morthirem i Lucisem, jest coś, czego jego prosty umysł nigdy nie pojmie. Zrozumiał też, że koniec tej rozgrywki jest bliski. Nieubłagany deszcz znowu zaczynał padać. Zbójca szczerzej otulił się płaszczem. Jego uwagę zwrócił drobny ruch na krawędzi pola widzenia. Jaszczur dalej mamrotał przez sen.

- Ale dlaczego, panie? Dlaczego kazałeś obwiesić tych nieszczęśników? - powtarzał kapitan Odredd, jakby mniejszy i zgarbiony. - Za kilka szmat, które zdarli z trupa?
- Zasłużyli na śmierć - zdecydowanym tonem odparł Lucis. - Zbzechęścili zwłoki człowieka. A kto wie? Może i sami go ubili - jakby cień uśmiechu przemknął po jego twarzy.
- Są pewne prawa, pewne wartości, których deptać i opluwać nie wolno. Zaufaj mi i spróbuj dostrzec prawdę i sprawiedliwość, mój kapitanie.

Odredd potrząsnął głową. Nawykł do widoku śmierci, ale... te płaczące, bezzębne i śmierzące kobiety rzucające się do nóg, te krzyczące wniebogłosy brudne dzieciaki, ten ciemny szumiący tłum napierający na knechtów... Razy spadające na chłopów. Cztery grube sznury na gałęziach starego drzewa. Pętle na szyjach skrępowanych winowajców. Ich krzyk, przepelniony ostatecznym przestraszeniem, krzyk przedśmiertny. Krzyk zmieniający się w charkot, gdy na znak Lucisa knechci podciągają sznury. Ostatnie drgawki umierających chłopów, których przecież skrycie uważał za inny, gorszy rodzaj ludzki. Po wydawałoby się nieskończenie długim czasie rycerz opuszcza rękę. Cztery ciała walą się na ziemię. Cisza. Potem rozpaczliwe łkania kobiet leżących na klepisku.

Kapitan czuł się podle. Był żołnierzem, nie katem. Nie taka miała być służba u paladyna Lucisa, którego pierwszy raz zobaczył, gdy ten wrócił z Gór Krwi, wspinały, zwycięski,

triumfujący. Zwycięzca największego, wcielonego zła - smoka, którego sam martwy zewłok budził grozę. Rycerz przemówił wtedy tak pięknie, prawil zasluchanym o czystosci ducha, o nieugiętości serca, o sile umysłu, o dobroci, którymi to przymiotami i tylko nimi pozwolili mu bogowie pokonać bestię.

- Smoka nie można pokonać ogniem i żelazem - wołał paladyn - choćby i wystąpiła przeciw niemu cała armia. On bowiem wydaje wojnę naszym myślom, szukając tam tego, co mógłby przeciw nam obrócić. Biada słabym, którzy ośmielą się rzucić mu wyzwanie. Biada tym, którzy nieprawość głęboko w sercu ukryją, albowiem jej najpierw szukać będzie. Trzy dni zmagalem się straszliwie z potworem nie unosząc nawet miecza. I gdy bliski już byłem upadku i poddania się, on nie wytrzymał pierwszy; plugawa potęga jego woli niehumanitarnej pękła pod naporem dobra i myśli czystych, słowem wszystkiego, w co odrzuconym wierzyłem. Smok ducha wyzionął, ujrawszy swoje zło i zepsute gadzie serce. Com ja wtedy ujrzał, słowami wyrazić się nie da. Ale walka moja z bestią jeszcze nie skończona. Duch jego zepsuty zdołał zawładnąć jednym z nas, rycerzem Morthirem. Porwał się on sam na smoka, ale serce jego brudne być musiało, a wola słaba i bestia wsączyła mu jad swój do duszy zatruwając ją na zawsze, a i ślady pozostawiając zewnętrzne, któreście sami widzieli. Nie zdążyłem mu z pomocą, przybyłem za późno. Teraz rycerz ten zewnętrznie tylko przypomina dawnego Morthira. Co wewnątrz, nie pytajcie, bom to oczyma duszy przez trzy dni oglądał. Bój z jaszczurem jeszcze nie skończony. Ruszam na jego poszukiwanie.

Patrząc wtedy na Lucisa Odredd pokochał go całym sercem. Uwierzył, że Lucis może uratować ich wszystkich, zabijać smoki i potwory, wypłeniać mrok z ludzkich serc, przynosić cierpiącym spokój i ukojenie. Nie był bowiem taki jak inni rycerze, których kapitan poznał: próżny, pusty, walczący tylko w absolutnej konieczności lub dla materialnych korzyści, z jawnie okazywaną pogardą odnoszący się do wszystkich ludzi niższego stanu. Nie. Lucis był po prostu... dobry. I Odredd bardzo zapragnął dopomóc mu w jego dziele. Kiedy paladyn zgodził się przyjąć go, kapitanowi wydało się, że świat zaśpiewał.

Przez trzy lata wspólnej wędrówki Lucis, Odredd i jego żołnierze przeżyli bardzo wiele. Wiele drobnych i większych zdarzeń, jak ziarenka piasku wpadające do oka, coraz bardziej uwierało kapitana, psując obraz rycerzy, których chciał podziwiać. Tak jak dzisiaj we wsi. Tłumaczył sobie, że przecież nikt nie jest doskonały, że czasem trzeba być okrutnym na chwałę sprawiedliwości i prawdy. Rozpaczliwie chciał wierzyć, że trzy lata temu dokonał właściwego wyboru. Ale było coraz trudniej.

Lucis położył mu rękę na ramieniu.

- Nie myśl tyle o nich, Odredd. Byli nasionami zła. Trzeba je tępić w zarodku, bo rozwiną się w groźne chwasty. W imię dobra.

"A czymże jest dobro, o które podobno walczyliśmy?!" chciał rzucić kapitan, ale w milczeniu kiwnął głową. Pośród księżycowej nocy widział tylko jasne oczy i twarz paladyna. Rycerz zdjął swą błyszczącą zbroję, aby go nie zdradziła. W kilku cichych słowach wydał Ordreddowi rozkazy dotyczące rozmieszczenia ludzi na obrzeżach kotlinki, do której podobno się zbliżali. Lucis słowem nie wspomniał, skąd zna drogę, skąd w ogóle wie, że znajdują tam Jaszczura i jego bandę.

- Przygotujcie kusze - mówił szybko i cicho w szumie zaczynającego padać zimnego deszczu. - Strzelajcie do leżących, gdy z mojej ręki padnie pierwszy trup, potem rzucajcie kusze i do boju. Jest ich tylko kilkunastu. Nie dawać pardonu. Jaszczura brać żywcem - skończył biorąc kuszę z rąk knechta.

- Jak go poznamy? - zapytał jeden z żołnierzy.

- Poznacie. Jego nie sposób nie poznać - rzekł rycerz z wysiłkiem naciągając kuszę. - Ruszajcie.

Coś w Odreddzie krzyczało bardzo głośno, że coś tu jest nie w porządku, że to nie tak miało wyglądać...

Milcząc wziął swoją kuszę i ruszył w stronę kotlinki.

Ostri odwrócił się od majaczącego Morthira i nagle przez deszcz dostrzegł w ciemności błysk oczu. Poderwał się, aby krzykiem zbudzić towarzyszy, ale ziemia zachwiała się i upadł w kałużę brudnej wody z bełtem w piersi. Krzyk zamarł mu w gardle. Cicha kotlinka wypełniła się nagle jękiem rannych i rżeniem umierających. Kilka innych jeszcze bełtów dosięgło celu. Pozostali zbójce zerwali się zdezorientowani, nie przygotowani, z niedowierzaniem patrząc na zbiegające ze zbocza kotlinki ciemne sylwetki. Księżyc blado oświetlał walczące, klnące i modlące się postacie. Przewracali się i niezdarnie wstawali na śliskiej i mokrej ziemi. Krew z podrzynanych gardeł i przebijanych serc mieszała się z lejącym deszczem. Leżący w błocie Ostri ciągle nie umierał. Widział śmierć kamratów, widział Morthira, który stawał trzem knechtom, rozdając ciosy z dziką zawziętością. Widział, jak potężny i szpetny Łysy Krijja zwarł się w śmiertelnym uścisku z prawie równie wielkim wąsaczem - żołnierzem, chyba oficerem. Żołnierz słabł, nie dawał rady. Krijja z wściekłym rykiem rzucił go o ziemię i miotając przekleństwa złapał za morgenstern, aby roztrzaskać mu głowę.

- Panie, dopomóż mi! - krzyknął żołnierz do nadbiegającego rycerza Lucisa, którego Ostri rozpoznał od razu. Ale paladyn tylko przelotnie na niego spojrział, bowiem właśnie stanął nad usiłującym odpełznąć, przytrzymującym jedną ręką wypływające jelita Hersem Nożownikiem. Rycerz uniósł swój wspaniały miecz i pięknym, czystym cięciem pozbawił głowy umierającego bandytę.

W ostatnim momencie życia przez głowę Odredda przeleciała myśl, że to już widział, kiedy Lucis po bitwie pod Giramą chodził i dobijał błagających o litość rannych wrogów. Na chwałę dobra, niemal uśmiechnął się w duchu kapitan, gdy dosięgnął go cios wielkiego, łysego zbója. Mózg kapitana rozbryzwał się na wszystkie strony.

Łysy Krijja tocząc pianę z ust rzucił się na paladyna. Lucis z łatwością uniknął pierwszego ciosu. Okręcił się w miejscu i markując cięcie w brzuch, chlasnął Łysego po twarzy, tworząc kolejny znak na pokrytej szramami czaszce. Krijja jednak otrząsnął się, bo rana w istocie nie była groźna, otarł krew z oczu i ponownie zaatakował rycerza. Lucis podczas uniku nagle pośliznął się, na błocie czy może na jelitach bezgłowego Hersa i padł jak długi. Krijja ryknął triumfalnie i straszliwie zamachnął się morgensternem. Rycerz osłonił głowę ramionami. Cios dosięgnął celu, głośno chrupnęły pękające kości. Krijja zamachnął się ponownie, aby dokończyć dzieła. Jednak morgenstern wypadł mu z rąk, a on sam z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy patrzył na tkwiący we własnym brzuchu miecz paladyna. Lucis jeszcze raz popchnął oburącz ostrze i potężny zbójca zważył się martwy, gdy klinga dosięgła serca. Rycerz wstał. Wyciągnął z ciała miecz. Uniósł ręce. Zacisnął najpierw jedną, potem drugą dłoń. Otarł twarz z błota i krwi.

- Bogowie, ulitujcie się - załkał ze strachu Ostri, który dotąd w nic nie wierzył.

W drugiej części kotlinki prerażeni knechci pierzchali przed Morthirem. Śpiewał niezrozumiałą pieśń, stojąc z rozłożonymi rękami, jakby chciał objąć cały świat... Na jego głowie nie było już czarnej przepaski. I choć jego pan stał tyłem, Ostri wiedział, co zobaczyli. Zamiast zwykłego, prawego oka - okrągłe, zielone, gadzie, z pionową źrenicą. Nie gadzie nawet, ale smocze, które zdawało się wciągać w straszną czeluść każdego, kto w nie spojrzał. Wcale się im nie dziwił, że uciekali.

Kątem oka zobaczył kamrata z bandy, Kozika, który szybko wczłógiwał się do jednej z dwóch jaskinek w zboczu kotlinki. Podobno można było nimi uciec do lasów. Kozik także go dostrzegł i przywoływał gestami. Ostri uniósł się na kolana. Oddychał z trudem. Czuł ciepło własnej krwi, powoli, ale systematycznie ją tracił. Wtedy zobaczył Lucisa, który najwyraźniej zamierzał zaatakować Morthira podstępnie, od tyłu. Ostri tak bardzo się bał. I tak bardzo chciał żyć! Wiedział, że jaskinka to dobre wyjście, uciekną i nikt nie zauważy. Opatrzy ranę i będzie żył, to chyba tylko przebite płuco.

Podniósł morgenstern Łysego i z ochryplym wrzaskiem rzucił się, a raczej zatoczył na paladyna.

Unosząc już miecz Lucis dał się zaskoczyć. Impet ciosu zważył go z nóg, ale natychmiast wstał, z wściekłością wytrącił

broń z ręki słabemu już zbójcy i kopniakiem podciął mu nogi. Ostri padł na ziemię pachnącą śmiercią. Lucis złapał go za włosy i wyszarpnął z pochwy mizerykordię. Chłopak drżał. Jego łzy mieszały się z krwią i deszczem.

- Poniechaj go, w imię miłosierdzia i honoru rycerskiego!

- zawołał rozpaczliwie Morthir, ostrzeżony szamotaniną za plecami.

Rycerz szybkim ruchem poderżnął gardło młodemu zbójcy, nie patrząc w twarz Jaszczurowi. Ciało Ostriego zwiotczało. Morthir z nieludzkim rykiem natarł na paladyna. Lucis i Morthir starli się w pojedynku. Wyprowadzali i parowali wspaniałe ciosy, ich miecze migwały w deszczu niczym błyskawice. Mijali się w piruetach, cudem unikali upadku na śliskiej ziemi, przeskakiwali ciała zbójców i żołnierzy, pokazując kunszt i zręczność. Nawet knechci obserwujący niesamowitą walkę nieczłowieka ze swoim panem nie mogliby wskazać lepszego. Pozornie niemożliwy do zatrzymania cios trafiał w zasłonę, finezyjny zwód sprawiał, że piękny atak trafiał w pustkę. W kotlinie znów panowała cisza, zakłócana szybkim oddechem walczących, metalicznym brzękiem mieczy i wszechobecnym szumem deszczu. Oświetlany bladym światłem księżycy pojedynek wyglądał jak starcie dwóch nieludzkich, nieziemskich istot. Morthir wyglądał jak potwór. Umazany błotem i krwią Lucis - jak anioł zemsty.

Po kolejnej wymianie ciosów zwarli się w klinczu. I wtedy po raz pierwszy zetknęły się ich spojrzenia, podążające dotąd raczej za orężem przeciwnika. Zbójca krzyknął ze strachem, zachwiał się. Rycerz odepchnął go i wściekłym machnięciem miecza wytrącił mu broń z ręki. Kolejny, szybszy niż myśl cios spadł na głowę Jaszczura. Wydawało się, że rozplątał ją na pół, ale nadgarstek Lucisa drgnął w ostatniej chwili i celu dosięgło uderzenie płazem. Morthir bez przytomności zwałił się na rozmokłą ziemię. Księżyc błyszczał w kroplach deszczu.

Wiadro lodowatej wody obudziło przykutego do ściany lochu Jaszczura. Natychmiast poczuł wracającą udrekę. Ból wyłamywanych stawów i obijanych kości, gdy wlekli go na powrozie za końmi. Impet kamieni rzucanych przez dzieci i kobiety rozbudzone rżeniem koni. Wspominał pełne strachu i nienawiści okrzyki, gdy jechali nocą przez podgrodzie.

Wreszcie loch, łańcuchy, kat i rozpalone żelazo powoli zbliżające się do oka, do bezsilnie, szarpnięciami odsuwanej twarzy. Ostra igła bólu wwiercająca się głęboko w czaszkę. Tłumiony krzyk. I ciemność. Wreszcie błogosławiona, kojąca ciemność... Teraz ból powrócił, ogarniając zmalretowane ciało.

- Pobudka, ścierwo! - kat wionął mu w twarz śmierdzącym oddechem z bezzębnych ust. - Wielmożny rycerz chce z tobą gadać!

Morthir z wysiłkiem uniósł głowę. Jego twarz nie przypominała oblicza ludzkiego. Wypalony, czarny oczodół w miejscu lewego oka, rozbita czaszka, złamany nos, wszędzie zaschnięta krew, zmasakrowane usta, powybijane zęby. Bezradnie łypiąca zielona, gadzia źrenica. Lucis, już obmyty i w białym płaszczu, przyglądał mu się bez słowa. Ruchem ręki odesłał oprawcę.

- Jutro umrzesz, smoku - powiedział wreszcie. - Ukorz się i proś o przebaczenie. Przyznaj się, a będziesz miał szybką śmierć. Inaczej czekają cię publiczne tortury.

- Przyznać się? - zakaszła Morthir nie mogąc się śmiać. - Do czego? Do tego, żeś mnie ścigał jak dzikie zwierzę przez ostatnie lata? Że zmusiłeś mnie, żebym żył jak ostatni zbir i łajdak? Że nigdy nie dałeś mi szansy obrony wytłumaczenia? Tak, jestem winny. Zabijałem i kradłem, napadałem na moźnych i kupców. Z rycerza stałem się zbójcą, żeby przeżyć i być może za to zasłużyłem na śmierć. Ale ty nie chcesz mnie skazać jako zbrojca, tylko jako potwora, odmienca. Kazałeś mi wypalić ludzkie oko, aby jutro nikt nie miał wątpliwości, że miałeś rację. I nikt nawet nie przypuści, że to we mnie zostało więcej z człowieka niż w tobie. Jesteśmy sami, nie musisz udawać.

- Nie wiem, o czym mówisz. Ale żadne sztuczki ci nie pomogą - niezwruszenie odparł Lucis. - Nie próbuj ze mną czarów.

- Do dzisiaj... Do dzisiaj nie wiedziałem. Nie chciałem wierzyć - niewyraźnie i z wysiłkiem cedził Morthir. - Ale gdy spojrzałem w twoje oczy, zrozumiałem wszystko. Wiesz, co w nich ujrzałem? To samo, co wtedy w Górach Krwi. Chaos, krew, mądrość, zło. Ujrzałem prawdziwą bestię. Mnie pozostawił oko, smocze piętno. Tobie dużo więcej. Myślałeś, że go wtedy zabiłeś? Tego nie może dokonać żaden człowiek. Zrozumiałem to już w pierwszej sekundzie kontaktu z... nim. Z tobą?

- Co ty bredzisz? - syknął zirytowany Lucis. - Wszyscy widzieli martwego potwora.

- Tak, jego poprzednie, stare ciało. Starsze niż góry i morze. Tak stare, że skrzydła nie mogły go już unieść. Nie mógł już polecieć, a to dla smoka najgorsze. Dlatego zdecydował zmienić rodzaj egzystencji na inny. Na życie w ludzkim ciele.

- I wybrał ciebie! - ze złością krzyknął rycerz.

- Otóż nie, dobry i sprawiedliwy paladynie - szepnął więzień. - Czasami śnię o nim w najgorszych koszmarach. Wspominam go, jak mamił mnie potęgą i wiedzą, ale przeląknęłam się jego mrocznej duszy i zacząłem walczyć. Niechybnie bym przegrał, gdybyś nie zjawił się ty, na własną zgubę. Tak, czasami śnię o tym, ale to moje sny, ludzkie. On jest już dla mnie tylko złym snem, tylko wspomnieniem. A ty, czy przypadkiem nie miewasz wizji? Czy nie widzisz rzeczy

odległych, zakrytych przed innymi? Czy nie nachodzą cię dziwne, nie twoje myśli? Bo chyba do końca jeszcze tobą nie zawładnął.

Lucis z jękiem zatoczył się na ścianę obejmując głowę. Nagle natarły na niego wszystkie dziwne sny, obrazy, wizje, o których chciał zapomnieć. Niesamowite, jakby cudze myśli, myśli tak dziwne, że nawet jego przerażały. Wszystko, co chciał wyrzucić z pamięci składając na karb zmęczenia czy złych uroków. Wspomnienia lotu nad dziwną czerwoną pustynią, w zadymionym, ledwo przejrzystym powietrzu, pękające i płynące skały, wybuchające góry, ogień, szum... Ryk i szum skrzydeł, a wszędzie dokoła...

- Nieee... - zakwilił rycerz osuwając się na wilgotne kamienie.

- Bogowie - westchnął ciężko Morthir. - Jak bardzo chciałbym się mylić.

- Nie. To nie tak. W szalonych oczach Lucisa zamigotała nadzieja. - Może i zostawił w mojej głowie coś... Demona, ducha, który zsyła na mnie złe sny i wizje. To zemsta smoka za to, że przegrał walkę, za to, że go zabiłem, to pewnie ostatni akt jego straszliwej woli. Ale przecież nie kieruje moją ręką. Nie zmieniłem się jak ty. Wciąż jestem rycerzem, paladynem! Wszystko, co robię, robię w imię wiecznego dobra! Walczę ze złem, ratuję ludzi...

- Paladyn... Dobry paladyn... - śmiech Morthira przeszedł w kaszel; z rozciętej wargi płynęła krew. - Rycerz, który napada nocą jak zbójca. Rycerz atakujący z zasadzki! Rycerz, którego knechci strzelają z kusz, broni wyklętej! Rycerz zadający cios w plecy! Rycerz, który podcina gardła rannym! Rycerz, który nie ma litości...

- Milcz, psie! - uderzenie ciężką rękawicą uciszyło na chwilę więźnia.

- Rycerz, bijący skrepowanego wroga... - wyszeptał Morthir rozbitymi ustami. - Nie możesz znieść prawdy, Lucisie. Ale ty nie jesteś już rycerzem. Złamałeś kodeks, łamiesz go co dnia. Smok... Należysz już do niego, to tylko kwestia czasu, kiedy on sam będzie kierował twoją ręką.

- Skoroś taki mądry i wiesz o mnie tyle, powiedz: dlaczego ja? - krzyczał paladyn. - Dlaczego? Przecież ty byłeś tam trzy dni przede mną! Też byłeś rycerzem, byłeś w jego mocy! Dlaczego wybrał mnie?!

- Kimże ja byłem? - odpowiedział Morthir. - Dumnym i biednym szlachcicem, szukającym sławy i pieniędzy. Bez większych ambicji. Ty, co innego. Wiem, wiem, że walczysz tylko dla sprawy i idei. Ale król jest już stary i nie ma potomstwa. To ciebie zapewne naznaczy na następcę. Jego dalsi krewni nie odważą się przeciwstawić, bo ciebie kocha już i lud, i wojsko. Jesteś wspaniałym dowódcą, umiesz zwyciężać, dla ludu zawsze jesteś... byłeś dobry. Nigdy nie splamiłeś się większym łajdactwem. Oni niczego się nie

domyśla, tym bardziej, że smok jutro ostatecznie zginie, poćwiartowany, spalony czy może łamany kołem, co tam dla mnie wybierzesz. Widzisz, jak sprytnie to sobie bestia obmyśliła? Nic nie było pozostawione przypadkowi. Wszyscy będą świętować, kiedy zostaniesz królem. Na ich zgubę. Nie wiem, jak będziesz rządził, ale mogę im tylko współczuć. Nie znają tego, co ja zobaczyłem w Górach Krwi. Pozwól, że pierwszy cię pozdrowię, królu. Wybacz, potem nie będę miał chyba okazji.

Spróbował splunąć Lucisowi w twarz, ale nie trafił.

Paladyn miotał się po celi jak zwierzę po klatce, zatykając uszy. Nie chciał słuchać słów Morthira, które chłostały niczym bicz.

- A wiesz, co jest dla mnie najgorsze, Lucisie? - pytał zbójca. - Że wiem wszystko i nic nie będę mógł zrobić.

Przejrzałem cię, ale za późno. Zapewne wyrwiesz mi przed jutrzejszym theatrum język albo może ukatrupisz tu, od razu? Nie boję się ciebie, smoku. Już wszystko mi jedno. Tylko żal tych ludzi, którzy będą cierpieć pod twoimi rządami. Tego morza krwi, które pewnie przelejesz dla celów, których resztki twojej ludzkiej natury nawet nie będą w stanie pojąć. A ja wiem i nic, nic nie mogę... Ale ja, Morthir Jaszczur, kiedyś rycerz, teraz zbój, łotr i morderca, przeklinam cię. Słyszysz mnie, bestio? Przeklinam cię!

Lucis uciekł na górę bełkocząc bez sensu. Więzień zawiał bezwładnie na łańcuchach, wstrząsany spazmami bezsilnego płaczu. Płakał cicho, bezgłośnie i bez łez, bo nawet to zostało mu odebrane.

Wybiegł na zewnątrz, poza zamek. Świtało. Chciwie wystawił twarz na kaśliwe ukłucia pierwszego śniegu. Ale drobne płatki nie mogły zgasić trawiącej go gorączki. Miał uczucie straszliwego zamętu, chaosu. Przez głowę paladyna przewalały się tysiące myśli, o których wiedział już, że nie wszystkie są jego - własne. Dobro, dobro, dobro! Imperium i ogień, smoki i robaki, zło i czystość, król i sługa, siła i słabość, mądrość i zadufanie, rycerz i łotr, dym i krew, życie i śmierć, śmierć, śmierć... Bał się jej, ale zrozumiał, że są losy gorsze od śmierci.

Cicho szepejąc modlitwy dobył miecza. Stanął twarzą do wschodzącego słońca i uniósł swój święty oręż. Ale promienie jakby go omijały, był ciemną plamą na skrzącym się kobiercu zmarzniętych śniegowych kryształków. Powoli, pokonując wewnętrzny opór, ujął miecz za klingę, przykładając sobie czubek ostrza do piersi. Pochylał się centymetr po centymetrze, tocząc walkę cięższą niż kiedykolwiek. Walczył z tym czymś krzyczącym, strasznie krzyczącym pod czaszką, walczył z własnymi dłońmi, które z całych sił starały się rozchylić, z własnymi ustami, które tak bardzo chciały głośno zawołać o pomoc, z plecami, które nie chciały się ugiąć.

Wygrał. Zgiął się w pół i rzucił do przodu.

Na twarzy leżącego w kałuży krwi martwego rycerza malował się dziwny spokój i ukojenie. Ciało z wolna pokrywał świeży, biały śnieg. Promyk słońca, który cudem przebił się przez chmury, malował na nim piękne wzory mieniające się wszystkimi barwami. Gdyby ktoś mógł go teraz zobaczyć, powiedziałby pewnie, że wygląda wspaniale, jakby był z innego, lepszego świata.

Lębork, lipiec 1996

Marcin Czyszczak

MARCIN CZYNSZAK

Gdańszczanin, rocznik 1975. Absolwent Politechniki Gdańskiej, informatyk, pracuje w polskiej filii międzynarodowej korporacji komputerowej. Fan niefanatyczny, choć szczęśliwy (poznał żonę na Polconie), namiętny czytacz - z polskich fantastów najwyżej ceni Zimniaka i Żerdzińskiego. Interesuje się także grammi fabularnymi, a zwłaszcza - metafizycznym, gnostyckim światem gry kult. Debiutant "NF".